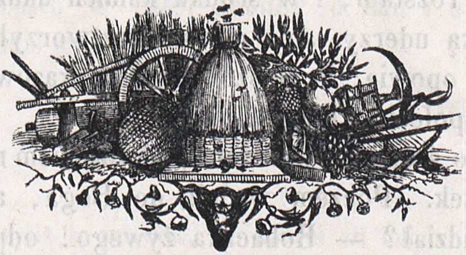
Tom I. Nr. 2.

11. Lipca 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

MATKA I ANIOŁ.

Przed laty żyła w pewnej wiosce bogobojna i cnotliwa wdowa. Nie miała ona żadnego majątku, tylko z pracy rąk swoich utrzymywała siebie i swoje kilkoro dzieci, do których duszą i sercem przywiązaną była. One ją też bardzo kochały, i zdawało im się, że bez niej żyćby nie mogły. Tymczasem nad spodziewanie ciężko zachorowała i nie było nadziei wyzdrowienia. Zbliżyło się konanie i Bóg zesłał już anioła-stróża, aby jej duszę przyprowadził do nieba. Widząc dzieci słabość matki, rzewliwie płakać i wyrzekać poczęły. Ona, spoglądając na nie, bardzo się rozczuliła, bo jej stanęło na pamięci, że zostawi sieroty, niezdolne jeszcze zarobić sobie na kawałek chleba. Widok konającej matki i płaczących sierot wzruszył przytomnego anioła tak, iż wymógł na śmierci, że jeszcze nie zabrała dzieciom matki. I ozdrowiała kobiecina i po dawnemu krzątała się około wychowania swoich dziatek. A kiedy anioł opuścił ziemię, i stanął przed Bogiem, zapytany był, czemu rozkazu nie wypełnił. Odpowiedział, że płacz dzieci i litość ku sierotom, któreby po śmierci matki były zostały bez przytułku, pomocy i obrony, pobudziły go do wyproszenia

matki od śmierci. Na to nic mu Pan Bóg nie powiedział, tylko mu dał laskę i kazał zstąpić na ziemię i nią uderzyć w morze. I morze mu się rozstąpi, i w środku kamień ukaże. W ten kamień znowu laską uderzy aby mu się roztworzył — i co tam zobaczy, niechaj opowie. Posłuszny temu rozkazowi anioł, uczynił co mu Bóg polecił. I rozstąpiło się morze, i rozdwoił się kamień, a w jego środku z wielkiem podziwieniem niebiana ukazał się żywy robaczek. Poczem wrócił do Boga, a Bóg go się zapytał: coś widział? — Robaczka żywego! odpowiedział. — Na to mu Pan Bóg: Aniele! jak o tem żyjątku, w twardym głazie ukrytem, wiem i ono utrzymuję, tak podobno i o tych sierotach byłbym pamiętał; bo choćby i matka zapomniała o swojem niemowlęciu, ja przecież o niem nie zapomnę. Ty zaś za pokutę twego nieposłuszeństwa zstąpisz na ziemię, przyjmiesz postać człowieka, i tam przez trzy lata służyć będziesz. — Ten wyrok Stwórcy przyjął anioł z największą pokorą, poszedł na ziemię i urządził się do jednego pana, i wiernie i pilnie wykonywał włożone na siebie obowiązki, przezco zjednał sobie łaskę, miłość i szacunek całego dworu. Do kościoła tylko chodzić nie chciał. Gdy go o to razu pewnego, a było to przy końcu trzeciego roku, pan jego, człowiek bardzo pobożny, należycie złajał, pojechał z nim w niedzielę na nabożeństwo; lecz zamiast wnijść do kościoła, został się na cmentarzu, nazbierał kamyczków, a gdy ludzie gromadnie wychodzili, zbijał siedzące kruki na kościele. Tym postępkiem oburzony pan, zaczął go w obec wszystkiego ludu karcić, i zniewagę, miejscu świętemu wyrządzoną, na oczy wyrzucać. Na to on mu tak odpowiedział: „Jestem anioł w ludzkiej postaci, zesłany z nieba na ziemię na trzyletną pokutę; a powiadam wam, iż nie znieważyłem miejsca tego mojem postępowaniem tak, jak wy nabożeństwo swoją oziębłą i niedorzeczną przytomnością. Ciało wasze w prawdzie było czynne dla oka, lecz duch bujał jak te kruki nad kościołem bez najmniejszego zastanowienia się, bez uczuć serdecznych ku Bogu waszemu, i modlitwy, któreście dotąd odmawiali, nie były szczere i w duchu odprawiane. a więc Stwórcy waszemu niemiłe“ — to mówiąc zniknął. — Wszyscy oniemieli prawie z podziwienia, a wracając do domów swoich, rozważali sobie ową nie-

spodziewaną mowę, uznali w niej prawdę i poprawili się. A że im anioł także powiedział, za jakie nieposłuszeństwo musiał pokutować, często w całej okolicy o nim i o biednej wdowie gadano i do dziś dnia gadają. *Sz. N.*

ZŁOTA KACZKA.

— Czyliż to prawda, że kiedyś źli ludzie
Będą dobremi, jak nam ksiądz powiada?
— O! będą ojcze! wszystko w Bożym cudzie,
A człowiek w cudach nadzieję pokłada.

— Wielkać to prawda.... żebyście wiedzieli
Wszystkoć to dziwne, co jeno na świecie;
Jest ci tu skała.... wy o niej nie wiecie,
Boście tam jeszcze w góry nie zajrzeli.

A pod tą skałą jest zdrój wody świeżej,
A na tej wodzie pływa złota kaczka:
To przedziergniona jakaś tam bogaczka,
Co kiedyś w złotej chodziła odzieży.

Dawnego roku poszli tam nasi
Z proboszczem z nizin, a ksiądz miał gromnicę,
Więc nie zgasiło: bo co inne świece
To zawsze gasi.... jeno tej nie zgasi.

Wchodzą pod skałę.... niby kościół jaki,
Niby to pałac wielki, jakiś taki
Pięknie zrobiony; patrzą.... aż tu żywa,
Złociuchna kaczka w wodzie sobie pływa.

Więc ksiądz ją zaklnie.... a kaczka do wody,
I już jej niema. Czekają.... czekają....
Ksiądz klnie drugi raz, coś jękło: słuchają....
Aż tu głos jakiś wychodzi z pod spodu.

„Jam jest księżniczka z wysokiego rodu,
W złocie się jeno kochałam za młodu,
Więc Bóg mnie skarał, i jako widzicie
Taką zostałam już na całe życie.“
Ksiądz znów się pytał: coby dusza chciała?
Ale mu dusza nie odpowiadała.

I wyszli wszyscy.... na górach ściemniało,
Jak to zwyczajnie pod wieczór, mój Panie!
Idą Dunajem, aż tu słychać granie,
Lecz nie pastuchy.... to w jamie śpiewało —
I tak do dziś dnia pono jeszcze śpiewa
Ona zaklęta, co tam sobie pływa.

Tak to mój Panie! wszystko z Bożej woli,
Co jeno żywie, wszystko Bożym cudem,
Nad naszym Pan Bóg miłosierny ludem,
Dał owies w górach i kruszynę soli.
A kiedy w świecie Pan Bóg cuda czyni,
To on też może złych ludzi przemieni.

— Gdzież wy idziecie? — Idę w Kościelisko.
— Czy to daleko? — A nie bardzo blisko;
Pasie tam bydło chłopak szwagra mego,
Ma on i budę, to wstąpcie do niego. *T. L.*

KRÓL W KUMACH.

(Ciąg dalszy.)

II.

Nazajutrz już słońce miało się ku zapadowi, kiedy tą samą drogą wprost ku siołu kierował się jakiś dziadowina o kiju. Na siole było gwarno i ruchliwo jak zazwyczaj pod wieczór. Gospodarz i parobcy wracali z pola po robocie, pastuchy spędzali podpasione bydło do dom na nocleg, dziewuchy uwijały się po drodze z naczyniem do zdroju, a gazdynie wedle domu to zganiały drobną dziatwę do izby, to zbierały jakie chusty z płotów, to zresztą siedzące na przyspach, wyczekiwały tak swoich gospodarzy i starszych dzieci z pola, albo z jaką kumoszką czy sąsiadą rozprawiały się o swoich rzeczach. Aż tu ten i ów uwidzą dziada idącego drogą.

Dziad powiada — Niech będzie pochwalony!

Oni na to — Na wieki wieków, — a skąd wy dziadku?....

— Ze świata, moi ludkowie! rzeknie ta idzie dalej.

Tak minął nie jedną zagrodę, niejednemu chłopu podchodził w oczy, widziało go wielu — ale nikt dziadu nie powie:

Zawitajcież do chaty; — choć nocka już zaszła i coś się nawet na burzę zanosiło od wschodu, bo poczerniało nad lasem i wiater co chwila się zrywał, miecąc kurzawą.

Idzież dziad dalej, kijem stuka po drodze, na nim puste torby się trzęsą i siwa broda od wiatru się chwieje. Wtem ktoś z boku zawoła, a było ich dużo:

— Ojcze, tatusiu, prosimy!

Stanął i patrzy, a tu kilkoro do niego małych i dużych podbiega ta w drogę zachodzi życzliwie, powiadając:

— Gdzież wam teraz na noc, tatusiu, poniewierać swoje kości, — prosimy na szczęście do nas a ojcowie radzi wam będą, prosimy!...

W tej chwili załyskało się nad lasem, dziad zajrzy przez drogę... tam za potokiem w prost stoi kościółek wiejski i dwie lipy wedle niego szumiące. Uchylił więc czapki, przeżegnał się krzyżem świętym i już potem za dziatwą życzliwą pokierował się ku chacie gościnnej.

Ledwo co stanął za progiem, niebo się całe zasunęło chmurami i wielka się rospasała burza po świecie.

W chacie zastał dziad gazdę w wielkim frasunku, gazdynię chorą na łożu, dziatwy sześcioro najwięcej drobiazgu, majątku niewiele, ale serce bogobojne i życzliwe, zawsze gotowe przełamać się chlebem z uboższym od siebie. Toż i dziada przyjęto jak przynależy, uczciwie i mile. Posadzono go na starszem miejscu u stołu, uraczono czem chata była bogata — aż po wieczerzy gazda otworzy swe serce i powie:

— At kłopot, miły dziadku! moja spodziewa się dziś jutro, ale Bóg zna jak będzie, bo cosik mocno czuje się słabą.

W kącie na posłaniu ciężko zastękała chora, chłop smutno głowę opuścił na piersi, dziad sparty na kiju zadumał, a wiater huczał na polu, a deszcz pluskał o strzechę, i latały czerwone błyskawice po nocy i grzmot się rozlegał w powietrzu.

Rzeknie teraz dziad! — Posłuchajcie gazdo co wam powiem, ja stary dziad. Choroba i wszelka niedola idzie ze świata a poratunek z nieba. Pan Bóg to nasz lekarz najlepszy, oddajcież jemu waszą chorą w opiekę a nie gryźcie się w sercu.

A na to chłop podnosząc głowę weselej: — Dobrze powia-

dacie... hej, hej, co to znaczy usłyszeć słowo szczere od rozumnego człeka! Jakby ręką wam odjął, tak mi już zaraz inaczej na sercu po waszem gadaniu. Ot, żeby wam miły dziadku wszystką prawdę powiedzieć, to powiem, że jakeście jeno weszli do nas, zarusienko mi coś szepnęło iże z waszą osobą zawitały w nasz dom pociecha i szczęście.

— Nie wiem jak to wy rozumicie gospodarzu, odpowie dziad; boć przecie moja uboga osoba tylko co chleb wyproszony w torbach, a nie żadne szczęście obnasza po świecie.

— Oj prawda żeście mnie nie odgadli! powie gazda uśmiechając się do dziada. Gość w dom, Bóg w dom — taka u nas przypowiastka i wedle tego gadałem tak do was dziadku, czego to wy nie zrozumieliście. Ale teraz nie tłumaczyć wam pono dalej bo już się samo z siebie rozumie, że gdzie pan Bóg zawita, tam też i pociecha pod ręką i szczęścia nie braknie.

— Aha! dajże wam Bóg za to zdrowie. — Ale, hm — pokiwa dziad głową i powie tak dalej, pozierając po izbie — kiedyśmy się już tak wielce rozgadali, to i nie weźmiecie mi tego za złe, że was zapytam: jakim to cudem gospodarzu, przy takowym niedostatku jaki u was miarkuję, zdołacie tyle luda wyżywić i zaopatrzyć jako tako?...

Na to chłop pilno: — Pfu, dziadu, aże mi samemu za was wstydno! ktoby was słuchał inny, myślałby żeście z jakiego leniwego rodu, niewiedzący co praca rzetelna.

Praca nasza, oj praca uczciwa przy Bożej pomocy daje nam człeku chleb i zaopatrzenie! Że pracować trzeba, to ani mowy; ale któżby sobie za to krzywdował?... kiedyć wiadomo każdemu, że nie na to mu dano ręce obie aby je za pazuchą trzymał, ale do zarobku na życie. Gdzie pan Jezus mnoży gęby w rodzinie, tam i rąk przybywa w dwójnasób. I miałżeby się człek markocić za to że mu nieba błogosławią na dzieciach?... Nie, dziadu, nie taki to u nas po wsiach zwyczaj! u nas to nazywają błogosławieństwem niebieskiem, im liczniejsza staje się rodzina. I nie zaboli cię głowa jak to wyżywić, jeśli tylko całe a zdrowe, boć takie małe ledwo co nieledwo urośnie od ziemi i na nogach się jako tako utrzyma, już musi do pracy nawykać i wedle sił swoich maleńkich przyczyniać się do chleba którego

spożywa. A tak, tak dziadu! kiwaj głową albo nie kiwaj, taki to prawda jest co ci mówię. I nie za to ja taki miał smutek na sercu iże mi dziecka przybędzie na głowę, bo za to Bogu chwała i Matce najświętszej — tylo mię mocny doimał strach przed tem, aby się co mojej kobiecie w tym razie złego nie stało, że taka się biedna nie czuje na siłach. Ale skoroście mię pocieszyli mądrem słowem, to jakoś teraz i spokojniejszy o nią jestem.

Tak prawił chłop, a dziad sparty na kiju słucha, ta czasem pokręci siwą głową jakby się czegoś dziwował, a znowu czasem na mówiącego chłopa popatrzy oczyma — a miał oczy żywe i piękne jak gdyby nie dziad o siwej brodzie ale jaki młodzieniec.

Tymczasem ogień przygasał na kominie, dziatwa posnęła w kątach gdzie które legło, jeno jedna dziewuszka czuwała wraz ze starymi. A dalibóg! tadże to nasza znajoma już od wczoraj, Marysienka, co toś my ją widzieli hen pod lasem trzy wieńce wijącą: ta jeden dla Matki Boskiej, ta drugi dla Pana Jezusa, ta trzeci dla siebie samej. Jej to więc rodzina, którąśmy oto poznali, jej chata gdzie jesteśmy, a z dziadem mówiący chłop — to jej ojciec, a na łożu leżąca — to jej matuś, a spiący teraz po kątach — to siostry i bracia.

— Ale za co ty Maryś nie idziesz spać?... zagada zaraz gazda, uwidziawszy ją krzątającą się Bóg wie czego po izbie — Ej, dziewucho!

— Ta trudno spać, tatulu, kiedy się oczy nie kleją — powiada dziewczę, podchodząc bliżej na izbę i strasznie ciekawie pozierając na dziada.

— Maryś, to niedobrze! prawi znów ojciec — możeś co nabroiła przed świętym aniołem, że ci spać nie daje?...

— E, gdzie ta nabroiła, tatulu — tylko tak... nie mogę! wymawia się dziewucha, a ciągiem na dziada patrzy aże dziwno

A dziad siedzi sobie milczący, oparty na kiju i także tak poziera na dziewczynę jak ona na niego.

— Ej, dziadku mój! zawoła pierwsza Marysia — sama nie wiem co takiego, ale odkąd was widzę i słucham, tak mi się coś wszystko zdaje, że ja was skądsik znam...

— Mnie dziecko?... zapyta dziad nie ruszając się z miej-

sca, tylko mu się poruszyła broda ledziuchno jak kiedy by się w sobie uśmiechał.

— A was, was dziadku! jeno mi sobie ani rusz przypomnieć, zkąd ja was znam — prawi dziewucha.

— Oto może ci się której nocy przyśnił taki dziadek z siwą brodą jak ja, ta ztąd ze mną znajomość.

— Oj, że nie ztąd to nie! koniecznie ja was gdziesik widziała, ale nie takiego jak dzisiaj.

— Spać dziewko! rozkazał ojciec, — pleciesz nie wiedzieć po jakiemu... spać, spać!... A potem się do dziadka odwróci: Pono i nam już pora spocząć — jak myślicie? —

— Bogu was polecam do jutra — odrzeknie dziad, ruszając się z miejsca i już nic więcej nie mówiąc, rzucił się tak jak był, na swoje gościnne pościelisko.

Niebawem pozasypiali wszyscy. Z każdego kąta słychać było smaczne chrapanie spiących i kiedy niekiedy ciężkie odetchnienie chorej. Na kuchni do resztv wygasł ogień — i stała się noc ciemna na izbie, zwłaszcza że miesiąc był za chmurami i burza nie ustawała na chwilę. Dopiero nad ranem przetarło się niebo i zakazało się na piękną pogodę. Nad ranem też i w chacie naszej radosne było wszystkich przebudzenie. Gazdyni szczęśliwie powiła chłopaka. Chłopaczek zdrów zakrzyczał żwawo do słonka co się miłym gościem ukazało na izbie i poprzebudzał spiących. Zerwie się chłop, podejmie się i dziad na nogi, i dziatwa rychło poprzeciera oczy — ta jak uwidzą matkę uśmiechniętą i w zdrowiu a usłyszą malca nowonarodzonego... trudno powiedzieć co tam była za radość.

Dziaduś nas z siwą brodą stał sobie nie opodal i ciekawie przyglądał się temu. Na widok tyla szczęścia w ubogiej ludzinie, chociaż sam bardziej zdał się być ubogim, łzy mu podstąpiły do oczu z radości. I płakał człeczyna choć mu się dusza śmiała.

— Zostańcie miły dziadu! nalegał gospodarz gdy się już stary wybierał w drogę — zostańcie, proszę was, wy co takie szczęście wnieśliście mi do chaty! — ot, choćby z dzień jeden jeszcze.

— Nie, nie mogę — wykręcał się dziad. Bóg zapłać za gościnę przez noc. Ale — powiada dalej — wiecie co gospodarzu, kiedy się gotujecie na chrzciny z waszym chłopcem?...

— Najpóźniej za dni trzy, albo co?... zapyta gazda.

— Ta to, rzeknię dziad, że chciałbym was prosić, abyście się przez te trzy dni koniecznie zatrzymali z kumami. Radbym się z wami pokmotrzyć, miły człeku, jeślibyście i wy i wasza nic przeciw temu nie mieli, że taki ja biedny.

— Słyszysz Jaga, a co ty na to? — zagadał chłop zwracając się do swojej.

— Podajcie, mężu, gościowi rękę w zaprosiny — odpowie gazdyni z posłania.

— Więc zgoda! na to chłop; czekamy was radzi oboje, kiedyć taka wasza łaska.

I podali sobie oba dłonie w serdeczności. A potem dziad się już żegnał. I wywiedli go wszyscy na pole, aż na drogę. A na odchodnem raz jeszcze zaczepi go nasza Maryś:

— Taki gadajcie sobie co chcecię, ja was gdzieś znam dziaduniu i wy mnie.

— A jaka uparta! rozśmieje się dziad mówiąc — znam i znam... ta zkąd dziecko ty mnie znasz?...

— Otoż właśnie, żem sobie zabyła.

— No, no obaczymy za dni trzy, może ty sobie i spomniesz; — powiada dziad i pogłaska ją ojcowską ręką po rumianem liczku, ta już potem jeno kijem stuknął o ziemię... i poszedł precz drogą przez wieś. A Maryś wracała do dom pokręcając główką:

— Ej głowo moja, niedobraś ty głowo, ta że mi nie powiadasz zkąd ja znam tego dziadka.

(Dokończenie nastąpi.)

PIĘKNE PRZYKŁADY.

Składka włościańska.

Jużcić nie wszystkim wiadomo, zwłaszcza wam co mieszkacie w dalekości od miasta Krakowa, co za nieszczęście padło przed laty dziewięciu w biały dzień na to królewskie miasto. A śliczności to miasto, ten Kraków nad Wisłą, co ma taki zamek królewski na skale, gdzie leżą pomarli królowie polscy w grobowcach, co ma tyle kościołów że od mnóstwa krzyżów złocistych zda się niby jaśniej na świecie, a gdzie okiem rzucisz,

to zobaczysz coś ciekawego, a gdzie krokiem stąpisz, to usłyszysz coś cudownego z dawności. Toć z czasem powoli jak Bóg da, opowiadać wam będziemy nie jedną rzecz o tym Krakowie, czego posłuchać będzie warto. Dziś że o tym nieszczęściu mowa, posłuchajcie jak było. W Lipcu się działo, kiedy lato było gorące a kropli deszczu nie stało od kilku tygodni, i ziemia pryskała od słońca i kamienie parzyły jak z ognia, a na gontowe dachy, Boże broń — małej iskierki, to i gotowe nieszczęście. Nikt zaś o tem nie myślał, bo już bardzo dawno jak powiadali — może z jakie lat kilkanaście — nie było żadnego ognia w tem mieście, dlatego i na baczności nie mieli się ludzie. Aż tu jednego dnia, prawie w samo południe, dzwonią na gwałt z wieży Marjackiej, że ogień. Co żyło wybiegło postraszone z domów. Gdzie ogień? pytają jedni — Na Piasku — co się tak zwie jedno przedmieście — Dolne młyny się palą! słychać drugich. Tam więc wszyscy biegli na ratunek, nie myśląc aby z tak daleka ogień miał dostać się aże do miasta. Tymczasem kiedy tam ludzie ratują i już prawie myślą że koniec, wstał wicher niesłychany i po nad domostwa, ogrody i drzewa przerzucił nieszczęsny ogień do miasta. Dopieroż to było na co się patrzyć a ręce łamać od zgrozy — co tam się działo! Z dachu na dach przeskakiwały nieszczęsne płomienie, niby węże czerwone, a tak im pilno było, że za nic wszelki ratunek. Więc stali ludzie ta jeno się patrzyli na to nieszczęście a ręce przed sobą łamali, widząc jak wszystka ich praca w żywe oczy na marność idzie. Od palących domów i kościołów taki huk, łomot słychać, jak gdyby pioruny biły po piorunach, i czarne chmury gorącego dymu zakryły słońce nad miastem, że prawie z dnia białego stała się ciemna noc. I trzebaż wam jeszcze mówić ile tam rodzin wtenczas zostało tylko z tym całym majątkiem, co go miały na sobie!... Gdybyż nie ludzkie miłosierdzie i poratunek z którym dla poszkodzonych braci powinniśmy być zawsze gotowi, to niejednemu z tych nieszczęśliwych na onczas w Krakowie przyszłoby albo z głodu umierać, albo szyć torbę dziadowską i gdzieś światami iść o żebranym chlebie.

Tymczasem ze wszystkich stron na pierwszą o tem wiadomość, ruszyli się uczciwi ludzie z braterską pomocą dla po-

gorzelców krakowskich. Nadto w samym Krakowie zebrała się piękna gromada takich dobrodziejów, którzy nie dość że swej kieszeni dla nieszczęśliwych nie żałowali, ale jeszcze po wsiach i miastach okolicznych jeździli, zachęcając ludzi do składki. Owóż zdarzyło się, iż jeden z takich panów zjechał do pewnej wioski w Krakowskiem; a właśnie żniwa miały się ku końcowi i we dworze gotował się pan, wyprawić swoim ludziom suty obżynek za ich pilną pracę w polu. Tegoż dnia rano zeszła się gromada do dworu na tygodniowy obrachunek. Po obrachunku wdał się pan z ludowiną w rozmowę.... więc gadu, gadu i o tem i owem, aż przyszła kolej na Kraków i na to krakowskie nieszczęście. — Mój Boże! zawoła dziedzic żałośnie — kiedy my tu dzisiaj stroimy się na wesoły obrzynek, iluż tam braci naszych w tym czasie, popadłych przez ten ogień w srogą niedolę, nie wiedzą co się jutro z nimi stanie, czy będą mieli gdzie głowę złożyć pod dachem i czem głód swój zaspokoić?.. Ot gdyby te wszystkie pieniądze które w całej Polsce wydadzą za wódkę i piwo przy obżynkach, złożyć w jedną sumę—jakże by to Bogu było miło! a dla onych nieszczęsnych co za pociecha!... Na te słowa pańskie widocznie cała gromada w sercach była poruszona. A w tem sołtys z siwą głową, widno człek niedzisiejszy, wystąpi naprzód i rzeknie:

— Przecie i my, proszę jegomości, mamy Boga w sercu! kiedy się panowie składają, i my nie będziemy od tego. Więc za wszystką wódkę i piwo co się nam dzisiaj z łaski pańskiej znaczyło — dziękujemy; co miało kosztować, niech to będzie dla pogorzelców. Prócz tego kiedyśmy od pana za robotę pieniądze odebrali, to jeszcze czyja wola, proszę dać, a więcej, dla nieszczęśliwych się zbierze. Panowie gromada! czy zgoda?..

— Zgoda! zawołano jednym głosem. I nuże do składki aż niebawem 29 reńskich i jeszcze coś nadto zebrało się na stole. Nadszedł wreszcie do dworu i on pan z Krakowa co zbierał pieniądze dla biednych, i wielce się z tej składki włościańskiej ucieszył. I kiedy już miał odjeżdżać, przez dworską bramę zachodzi mu w drogę chłopek kulawy z tej samej wsi, prawie co żebrak taki biedny, bo dla kalectwa swego trudny miał zarobek. Zasłyszał on był na wsi o składce gromadzkiej, i przy-

kro mu się zrobiło, że z całej gromady on miał być jeden, który nic nie dał. Dla tego zebrał się co tchu, i oto niesie biedne sześć groszy co ich namacał w kalecie.... do składki dla nieszczęśliwych Krakowian. Taka uczciwość bez wyjątku w całej gromadzie, wielce przypadła dziedzicowi do serca. I choć to niby te pieniądze za dożynkową uciechę złożył był z wolą gromady do składki, taki nie mógł z wielkiej radości przenieść na sobie, żeby nie sprawić ludowinie niejakiego obżynku i tak ich bez niczego puścić do domu. Kazał więc cichaczem posłać po muzykę, i beczkę piwa wytoczyć z piwnicy, i nagotować w kuchni wszystkiego po uszy — i tak poczciwi ludziska co się zrzekli byli zabawy dla miłości bliźniego — zażyli jej niespodzianie dnia tego i ucieszyli się wszyscy aż miło. —

DOBRA GOSPODYNI.

Choćbyś się jak to mówią na głowie postawił, dnia nie zmitrężył, nocy nie dospał, chleba sobie uskąpił i z całych sił zabiegał w gospodarstwie, — przy złej niewieście wszystka twoja praca za nic! Bo jako to drzewo pięknego owocu, skoro ma jedną gałęź zabolałą albo uschniętą, a zawczasu temu nie zaradzisz, zatem powoli i całe zmarnieje, — tak samo właśnie i w gospodarstwie: za nierządną kobietą wszystko idzie na marność. Dobra żona, to niby słonko wiosenne, tak ci wszystko z pod ręki jej rośnie, prawie w oczach przybywa, mnoży się dostatku, pociechy.... iż sam nie wiesz kiedy. Zaś zła niewiasta, to jak gradowa chmura, nie dość że ci chleba nie przysporzy, ale go jeszcze zmarnuje. Niechże was Bóg zachowa, gospodarze, od takiej opłakanej godziny! — a was, gospodynie, niech Matka najświętsza broni, byście miały być takiej złej woli dla swoich mężów!... Dosyć oni mają nieraz i bez was turbacyi, aż głowa nieborakowi potrzeszcze; — trzebaż jeszcze aby i ta, którą brał sobie na pociechę do pożycia, gorącego sadła za kołnierz mu lała?.... Owóż posłuchajcie jaką to my gospodynię uważamy za dobrą.

Dobra gospodyni przedewszystkiem — będzie dobrą żoną. I jakże jej być inszą! kiedy za taką ślubowała się swo-

jemu mężowi w oczach ludzi, na klęczkach przed wielkim ołtarzem, i przed księdzem proboszczem, i przed Bogiem, który z wysokiego nieba sam baczył na ten ślub. A sprzeniewierzyć się ślubowi swojemu — to krzywa przysięga, a krzywoprzysięstwo — to grzech srogi, a za grzechem już idzie kara od Boga i od ludzi pogarda. To też w takim domu: krzyk, swar, zabijatyka z dnia na dzień, ni ładu ni składu, ni zgody ni urody, wszystko na wywrót się dzieje — a za piecem już diablik się śmieje, a do drzwi i do okien bieda szturmuje... takie to widowisko gdzie zła żona panuje. Jakże inaczej patrzy gospodarstwo przy dobrej żonie!... od rana do zmroku piękna praca wywija się jak z płatka, bez krzyku, bez hałasu, bez Bożej obrazy, wszędzie widać porządek, na twarzach ludzkich pociechę, o biedzie ani słychu dychu, bo we drzwiach domu stoją Anieli co chronią ludzi dobrej woli, w Boskiem imieniu od niedoli.

Dobra gospodyni po raz drugi — będzie dobrą matką. Pod jej okiem chowa się mała dziatwa, ta jak ją sobie wypielęgnuje, taką będzie miała na starość pociechę. Więc daje na to baczenie by dzieci nie miały złego przykładu, ani w słowie, ani w uczynku. Nicbo snadniej jak dziecko popsuć i uczynić złem. Drzewko gdy młode, łatwo się podaje na tę i na ową stronę; taki właśnie umysł giętki jest u dziecka — więc jak go nakierujesz za mała, takimci wyrośnie na potem, — a stare mówi przysłowie: „czem skorupka zawrze za młodu, tem i na starość trąci.“ Niechże, czego Boże broń! podchowa się taki malec co to nie do Boga ani do ludzi — jakież ztąd zmartwienie dla ojców, jaki żal, jaka z tem męka, co za nieporadna godzina! a to wszystko przyszło z nieuwagi złej matki, która nie miała na niego pilnego oka za maleńka. I nieraz wtedy radziby naprawić, sprostować co się skrzywiło, ale najczęściej już bywa za późno, zmocniał on w swojej złości, jak drzewo krzywe wyrosłe, i prędzej byś go przełamał niżli wyprostował. I będzie dla nich hańba na starość, a na gospodarstwo padnie klątwa Boża, bo przy złem dziecku nie masz błogosławieństwa.

Dobra gospodyni po raz trzeci — przykładną będzie niewiastą dla całej gromady. Nie wda się ona w babskie plotki, bo z plotek człek sobie tylko nieprzyjaciół mnoży; sąsiady nie

obgada, bo obmówisko niepiękna rzecz; niczyjej sławy nie naruszy, bojąca się o swoją własną; kuma czy niekuma, dla wszystkich z równą będzie przyjaźnią, bo taki lepiej mieć stu przyjaciół jak jednego nieprzyjaciela. Kiedy czas do kościoła, to ona najpierwsza, a do zabawy ostatnia, gdyż dla dobrej niewiasty kościół i modlitwa najpiękniejsza zabawa. Masz bo ona o co się modlić, o dla Boga!.... to dziatwa żeby się jej zdrowo chowała, ta iżby miała z tego pociechę; to znów za męża, to za siebie żeby im Bóg sił użyczył do pracy; to na polu, to w domu by nie doznali jakiego nieszczęścia.... i tyle innych rzeczy o które winniśmy pana Boga prosić. Od karczmy ucieka gdyby od złego ducha, kieliszka się nie tknie za nic w świecie, bo jako niepięknie widzieć chłopa zapitego, tak sto razy gorzej pijaną babę. A zdarzy się gość w chacie, przyjmie go jak należy — bo z gościem, mawiali nasi ojcowie, pan Bóg wchodzi do domu; ubogiemu chleba nie uskąpi, bo i „któż tak mądry że zgadnie, co nań jutro przypadnie?“... miłoż by jej było w złym razie nijakiego poratunku nie znaleźć u ludzi?....

Dobra gospodyni nareszcie ta, co w gospodarstwie mężowi, z bacznem okiem, pilną ręką i z dobrą radą stoi wiernie ku pomocy. Idzież gospodarz w pole albo gdzie na zarobek, gospodyni w domu czasu tego nie zmitręży, nie wygrzewa się na słonku w lenistwie, nie idzie do sąsiady na plotki — ale to wedle izby porządkuje, zamiata, myje, szuruje aż się wszytko szkli od czystości, taki sam porządek robi przed chatą i na oborze, potem wedle kuchni się uwija, skoczy do ogrodu na grządki jeśli potemu czas do roboty, to biegnie z płachciną i z sierpem po trawę krowom do podoju; a gdy słonko zejdzie na południe, a mąż kazał sobie przynieść jeść w pole, czy tam gdzie na zarobku, pilnoż mu niesie, a i tam nie próżnuje, lecz owszem ile tyle przez ten czas chłopu dopomoże. Nie uwidzisz tam dzieci zamurdzane, z rozczochranym włosem, w podartej i brudnej bieliznie; i wedle męża czysto i wedle niej samej ochędożnie aż miło. Z roku na rok ma ona swoje przędziwo i w zapasie bielonego płótna w komorze. Na podwórzu wodzi kwoczka wesołe kurczątka, a opodal na trawie pasie się całe stadko gęsiąt naszej zaradnej gosposi. Da Bóg, w jesieni jaki piękny

grajcar za to kapnie i ot.... będzie zaraz czem opłacić gwałtowniejsze potrzeby, nie oglądając się na zarobek męża, ani też potrzebując wysprzedawać się z ziarna.

I oto podziwują ludzie, zkąd temu chłopu tak się cudnie darzy w gospodarstwie. Ni on taki z rodu bogacz, ni z bogaczką się żenił, a dziś popatrzcieno, do jakiego przyszedł dostatku! Zda się że mu wszystkiego przybywa jakby na drożdżach, ani mu w polu chybnie, ani grosza nie zabraknie, i chleba po uszy, i bydełko rozkoszne gdyby na opas, i chata przestronna i Bóg wie do jakich nie przyszedł porządków. Au!... chybaż on się dobrał do skarbu wielkiego i tem stanął tak rychło na nogi.

A na to on gospodarz któremu ludzie szczęścia zawidzili:
— Prawdę powiadacie, żem się dobrał do skarbu, za co Bogu dziękować!

Ale skarb ten, skarb mój drogi, dziwnej on własności!
Nie ze śrebra, nie ze złota, lecz z ciała i kości;
Rąk ma dwoje, oczów dwoje, jak matka i ojciec —
Jak się zowie? niechaj powie, kto potrafi dociec.

— Owa! jaka mi sztuka, rzeknie ten i ów — waszą macie na myśli. I prawda że walna z niej gospodyni.

— Ano, to nie szukajcie u mnie innych skarbów, boć lepsza nad wszystkie bogactwa dobra gospodyni!

RÓŻNOŚCI.

Sztuka drukarska. Wielu już z was, dzięki Bogu, umieją sobie przeczytać na książce, aleć zapewne mało komu wiadomo: kto był ten pierwszy co wymyślił sposób drukowania takich książek. Bo jużcić pan Bóg tego nie stworzył, jak nie stworzył pług, bronę, i te nowe młocarnie i one wozy co ich sama para pogania, i tyle innych rzeczy na świecie. Wszystko to ludzkie są wymysły — z natchnienia Boskiego. Powiadają: „nie odrazu Kraków zbudowano“ — takci i we wszystkiem się dzieje. Zwolna człek nabywa rozumu, doświadczenia, nauki, poznaje w czem ma niedostatek i jakby temu zaradzić, przemyśla. To też im starszy świat, tem jest bardziej przemyślny i poradniejszy sobie. — Przed pięciuset laty nikt jeszcze nie znał książki drukowanej. Biblija święta, Świętych pańskich nauki, zgoła wszystko cokolwiek ludzie kiedyś przemyśleli, i dla przykładu, i dla wiadomości światu podali, było mozolną ręką spisane na papierze. I takich książek pisanych nie mogłeś za lada jaki grosz nabyć —

jak oto dzisiaj, gdzie byle kto choć i ubożuchny człek, taki się przy dobrej woli zdobędzie na jaką książczynę. Siła trza było wtedy pieniędzy łożyć, komu czytanie do smaku przypadło, i niejedna książka kosztowała tyle, coby dziś za nią dobrą wieś można kupić. To wszystko dla tego że druku nie znali, jeno pisaniem ręką musieli nadrabiać. A przecie wiemy że ręka ludzka nigdy temu nie podoła co potrafi maszyna. Ot na ten przykład i młocarnia jeśli udała... co to ona w jednej godzinie zboża nie nasypie! to choć najtęższy chłop nigdyby cepem tego nie dokazał za cały dzień. Z tej to przyczyny takie drogie były książki pisane przed wynalazkiem druku. Co zaś drogie, to nie każdemu przystępne; więc nie lada kto rwał się do czytania, chyba pan wielkiego majątku i ksiądz jaki uczony. I było tak długo na świecie, że kto znał pisać a czytać, miano go za wielkie dziwowisko. Dopiero znalazł się taki człek, któremu Bóg dał zostać dobrodziejem ludzkości. Był nim Jan Guttenberg, urodzony przed 400 laty w Moguncyi nad rzeką Renem. Już w dwadzieścia cztery lat po swojem urodzeniu przemyśliwał on nad sztuką drukarską. Ale zrazu szło mu jakoś cale niepomyślnie. Brał się zaś do tej rzeczy w ten sposób: na tablicy drewnianej wyrzynał litery tak jak były napisane w tej książce, którą chciał drukować. Mozolna to była praca i co gorsza, wcale nie pożyteczna. Bo litery na drzewie wyrzynane nie dobrze wybijały się na papierze, i zresztą w taki sposób do każdej nowej książki musiał inną tablicę z literami przyrządzać. Tedy myśli sobie — nie dobrze! trza to się inaczej wziąć do tej rzeczy. Więc począł wyrzynać litery chociaż z drzewa ale już nie na tablicy, jeno każdą literkę z osobna, żeby ją mógł do woli postawić tam gdzie było potrzeba. I to już był sposób lepszy, ale jeszcze nie najlepszy. Bo drzewo słaba rzecz, pod prasą drukarską prędko niszczało, przytem druk od takich liter drewnianych strasznie był niewyraźny i brzydki. Kazał więc sobie nareszcie odlać z ołowiu litery i temi już mając 55 lat życia, wydrukował pierwszą Biblę t. j. stary i nowy zakon Pisma świętego w języku łacińskim. Dopieroż sława jego gruchnęła po całej ziemi! — Pomocników jakich miał do tej sztuki, dużo rozjechało się po świecie, zakładano wszędzie drukarnie i tu u nas w Polsce także, a najsamprzód w Krakowie jako w pierwszem mieście państwa. Od tego też czasu książki coraz mniej kosztowały im lepszą stawała się sztuka drukarska, coraz więcej ludu garnęło się do pięknej nauki i niemało pożytku urosło ztąd dla świata. Dziś przyszło do tego, że prawie wstydno się robi człowiekowi co czytać i pisać jako tako nie umie. Otóż moi kochani! że się modlicie piękną modlitwą na książce do nabożeństwa w kościele, że sobie wyczytacie niejedną powieść zabawną o ludziach i niejedną radę przyjacielską i pożyteczną dla siebie — podziękujcie za to naprzód Bogu, a potem onemu najpierwszemu z majstrów sztuki drukarskiej, co się zwał Jan Guttenberg.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**